

KONINIANA

MIESIĘCZNIK Towarzystwa Przyjaciół Konina

10-16 lutego 2004 r.

NR 2 (11)

1. Z kart przeszłości – ciekawostki z dawnej prasy konińskiej
2. Ze wspomnień – przedruk fragmentów pamiętników i wspomnień
3. Z dziejów Konina – artykuły o treściach historycznych, archiwalia
4. Tworzyli wizerunek miasta – sylwetki ludzi zasłużonych dla miasta
5. Naszym zdaniem – wypowiedzi na aktualne tematy dotyczące rozwoju miasta
6. Inspiracje kulturalne – poezja, proza, rysunek konińskich twórców
7. Z życia TPK – zapowiedzi i sprawozdania z imprez, konferencji, zebrań
8. Barwy codzienności – podpatrzone fotoobiektywem obiekty w mieście
- Egzotyka miasta – podpatrzone fotoobiektywem życie mieszkańców
- Oko w oko – konkursy ze znajomości miasta dla Czytelników
9. Inne – tematy inne niż wymienione powyżej

Kochani przemarnie! Czytelnicy!

Dość dawno nie mieliśmy tak pięknej, czyściutkiej, estetycznej zimy.

Paweł Hejman postanowił w tej okazji zatrzymać w kadrze kawałek miasta – czy jest ładniejsze w bieli, czy w zieleni – to już osądźcie Państwo sami.

W aktualnym wydaniu chcieliśmy pomieścić jak najwięcej ciekawostek dotyczących i ludzi, i miasta, stąd być może wrażenie pewnego natłoku i nieuporządkowania. Cieszymy się z coraz częściej nadsyłanych tekstów, ale nasz „cykl produkcyjny” nie pozwala na satysfakcjonujące pogodzenie podaży z popytem. Proszę zwrócić uwagę na prawie sowiudzarskie wspomnienia Sławomira Lindnera. Czytając je można zrozumieć gorzkie słowa zapisane na jakiejś glinianej tabliczce sprzed 2000 lat, że „młodzi nie chcą słuchać starszych”. To pewnie trwa do dzisiaj. Polecam również wspomnienia o Tadeuszu Gerasie – nie wszystko wiedzieliśmy o Jego wspaniałej drodze życiowej, choć wielu z nas miało zaszczyt znać go osobiście.

I zupełnie zaskakujący tekst Marii Magdaleny Żerkowskiej o potopie szwedzkim na Ziemi Konińskiej (lektura obowiązkowa). Magdę witamy serdecznie na łamach. Ponieważ szykuje się nowa przeprawa przez (Wartką) Wartę, Z. Kowalczykiewicz przypomina wszystkie mosty Konina. Nawet te, których już nie ma, i tylko nieliczni o nich wiedzą. Poza tym, jak zwykle poezja, grafika, fotografie Leczek pisze prodomosuma – czyli o książkach do zadumy.

Pozdrawiamy i oczekujemy nowych propozycji – do spotkania na łamach „Konińnianów”.

Pozdrawiam Stanisław Sroczyński

PS Dziękujemy za życliwie telefony i miłe słowa (gdzie zawieruszyl się „Wierni aż do bólu”?)

PS Kwitujemy list i zdjęcia pana Henryka Lechtańskiego – wzięliśmy je na warsztat. Skontaktujemy się na łamach lub listownie. Chcielibyśmy pańskie zbiory przedstawić w gazecie.

PS Na wszelki wypadek wyjaśniamy, że pan Jan Sznajder to wujek Janka Sznajdra (wyjaśnienie w związku z artykułem „Przyjaciel zwierząt”).



Broda zimy



Wcale nie dziwaczki

Z dziejów Konina

Biblioteka Ruchoma w Koninie

Obok niewielkiej ilościowo biblioteki publicznej prowadzonej społecznie przez Towarzystwo Dobroczynności i bogatej w księgozbiór (ponad 10 tys. wol.) biblioteki żydowskiej obsługującej żydowską społeczność miasta, istniała w Koninie Powiatowa Centrala Bibliotek Ruchomych.

Tego rodzaju bibliotekę założono w 1934 roku na podstawie ustawy z 1929 roku, która zobowiązywała wydziały powiatowe do kupowania książek, kompletowania ich po 50-60 egzemplarzy i udostępniania mieszkańcom powiatu. Książki przewożono w walizkach do kolejnych gmin zwykle oddając je pod opiekę kierownika szkół powszechnych. Co kilka miesięcy za pośrednictwem Centrali, komplety wymieniano między gminami. Taka rotacja umożliwiała lepsze wykorzystanie księgozbioru i nie wymagała zakładania bibliotek gminnych. Centrala była więc wspaniałym propagatorem czytelnictwa, ostoją dopływu książek do mieszkańców wsi. Nadzór nad funkcjonowaniem Centrali działającej w ramach oświaty pozaszkolnej sprawował kierownik – inspektor szkolny M. Kozłowski. Centrala miała od 1938 roku własny lokal w wydziale powiatowym z trzema szafkami do gromadzenia książek i kilkanaście waliz do ich transportu. W ostatnim roku, przed wybuchem wojny, z książek Centrali skorzystało 1615 czytelników, mieszkańców powiatu konińskiego.

Zachowany inwentarz Centrali pozwala na poznanie zawartości biblioteki. W pierwszym roku (1934) zbiór liczył 167 tytułów (3 komplety), w ostatnim roku działalności (do 1 września 1939) dysponowano 39 kompletami. Pierwszą zarejestrowaną w bibliotece książką była powieść Kraszewskiego „Profesor Milczek”, ostatnią w rejestrze „Pisma” Adama Asnyka t. III. W ciągu niespełna sześciu lat funkcjonowania księgozbiór Centrali zwiększył się do 1956 woluminów. Książki pochodziły głównie z zakupu ze środków starostwa. Tylko 100 egz. stanowiły dary, w tym 36 tomów ze Słupcy po likwidacji powiatu słupckiego i 62 od Komunalnej Kasy Oszczędności w Koninie. Zazwyczaj kupowano książki tanie, w cenie od 0,60 do 2-4 zł. Książki w cenie powyżej 10 zł było niewiele. Najcenniejszymi książkami w Centrali, z uwagi na ich wydanie w czasie zaborów, były: „Pracownicy morza” – Wiktora Hugo (1866), Jana Zacharaszewicza, „Święty

Jur” (1873) i „Na kresach” (1887), Józefa Ignacego Kraszewskiego „Historia o Jonaszu Korczaku” (1879) i „Pałac i folwark” (1883), Marii Konopnickiej „Cztery nowele” (1888).

W zbiorze Centrali dominowały poezje z polskiej literatury pięknej. Były to przede wszystkim utwory pisarzy współczesnych m.in. Kornela Makuszyńskiego, Juliana Kaden-Bandrowskiego, Tadeusza Dołęgi-Mostowicza, Zofii Kossak-Szczuckiej, Ewy Szelburg-Zarembiny, Marii Dąbrowskiej, Wandy Wasilewskiej, Andrzeja Struga, Czesława Centkiewicza, Jarosława Iwaszkiewicza, Gustawa Morcinka, Michała Rusinka, Janusza Korczaka, Melchiora Wańkiewicza, Arkadego Fiedlera. Dużą grupę stanowiły utwory pisarzy z XIX wieku: Józefa I. Kraszewskiego, Henryka Sienkiewicza, Elizy Orzeszkowej, Bolesława Prusa, Marii Konopnickiej, Adama Asnyka, Stefana Żeromskiego, Kazimierza Tetmajera, Władysława Orkana, Stanisława Przybyszewskiego, Marii Rodziewiczówny. Z twórczości romantyków były utwory Juliusza Słowackiego, Józefa Korzeniowskiego i Kamila Norwida, nie było Adama Mickiewicza i Zygmunta Krasińskiego, podobnie nie było Stanisława Wyspiańskiego, Gabrieli Zapolskiej, ani dzieł pisarzy z epok wcześniejszych.

Centrala posiadała niezbyt liczne utwory pisarzy obcych, w tym książki głównie dla młodzieży: Coopera, Hugo, Dickensa, Kiplinga, Amicisa, Remarque’a, Haszka, Conrada, Montgomery. Niewielki procent w zbiorach zajmowały książki dla dzieci, a literatura popularno-naukowa ograniczona była do publikacji poradnikowych o charakterze praktycznym oraz książek o tematyce historycznej, w tym taniej serii (0,90 zł za egz.) „Polska i świat współczesny”. W Centrali nie było encyklopedii i wydawnictw podręcznych, a ze słowników tylko kilka egzemplarzy słownika ortograficznego. Wyróżniającą się grupą książek były wydawnictwa związane z walką o niepodległość Polski. Centrala posiadała dwa komplety pism zbiorowych w 10 tomach Józefa Piłsudskiego i trzy inne jego tytuły, liczne wspomnienia o Marszałku, Sławoja-Składkowskiego, Lepeckiego, Cepnika, Hlakowiczówny oraz kilkanaście tytułów o bojach legionistów i wojnie z bolszewikami (Mączki, Rembeka, Małachowskiego, Struga i innych).

W księgozbiore Centrali znajdowało się 12 tytułów książek wydanych przez drukarnię i księgarnię P. Michła w Koninie, w tym „Robinson Crusoe”, „Chata wuja Toma”, „Emilka ze srebrnego nowiu”. Biblioteka posiadała też dwa egzemplarze „Róży bez kolców” i „Cudzoziemca” Zofii Urbanowskiej, a także powieść „Fratego” autorstwa dziedziczki z Lisewa koło Skulska Marii Leszczyńskiej-Mittelstaedt.

Lech Hejman

Ze wspomnień

Sztubackie czasy

Do Konina przybyłem z rodzicami, gdy ojciec otrzymał posadę architekta powiatowego. W 1920 roku było to małe prowincjonalne miasteczko leżące na lewym brzegu Warty.

Muszę przyznać, że byłem typowym okazem tego, co dzisiaj nazywamy trudnym dzieckiem. Nie istniał dla mnie rozkład dnia, nakazy i zakazy. Włóczyłem się z rówieśnikami po całym miasteczku i najbliższych okolicach. Najbardziej nęciły nas, siedmio- i ośmioletnich eksploratorów, okolice rzeki. Rzeka płynęła przez miasto. Oba brzegi łączył drewniany most. Za mostem leżało Przedmieście Słupeckie. Za tym przedmieściem był wielki zalew, którym w czasie powodzi przelewała się woda, a w zimie zamieniał się w świetną ślizgawkę.

Na łyżwach jeździło całe miasto. Najczęściej używanymi w owym czasie łyżwami były tak zwane turki, które pod piętą wkładało się w specjalną, umieszczoną w obcasie blaszkę, a z przodu trzymały je dwie łapki, obcisnące podeszwę. Prócz tego trzymał je na środku pasek. Miałły ściegi przód. Drugim rodzajem były śnieżki, z zakręconym w górę szpicem, trzymające się łapkami z przodu i tyłu. Żydzilo się pojedynczo i parami. Zmyśliłem holendry wyczyniane wspólnie z partnerką, którą trzymało się za wyciągnięte przez nią w tył dlonie, były przywilejem starszych.

Ogromne łęgi nadwarciańskie, czyli zwane po tutejszemu chęchy, dawały cudowną okazję do dalekich wycieczek. Ci najlepsi i najsilniejsi jeździli do Borku. Co pomyslowi chłopcy konstruowali żagle. Kawalek trójkątnego płótna na dwóch kijach, poprzecznym trzymanym pod pachami i pionowym, który napinał płótno ku górze. Można było dzięki takiemu urządzeniu halsować dowolnie po całym lodzie. Właściciele psów urządzali psie wycieczki. Staowało się okramnie nad psem, a ten pędził przed siebie. Należało go tylko trzymać pod sztyką. Mali chłopcy, których nie stać było na łyżwy, konstruowali sobie małe kienki sanelki podkute grubym drutem. Takie tuczo, żeby zmieściły się na nich dwie stopy kiedy jeździło się „na stojaka”, albo posładki, kiedy ślizgano się siedząc. W pierwszym przypadku do popychania służył kij z gwoździem trzymany mię-

dzy nogami, w drugim – dwa małe kijki. Królował na lodzie pan Niedźwiedźki. Był to przemily starszy człowiek, który w lecie zajmował się piaskarstwem, a w zimie odmiał łód, ustawał po bokach laweczki i nam, dzieciom, przykręcał i odkręcał łyżwy.

W innych porach roku urządzaliśmy rozmaite zawody. Raz było to przejechanie rowerem po belce przerzuconej przez Strugę, małeńką, o cudownie piaszczystym dnie, płynącą za miastem w dół Warty przez ogromne obszary wydym. Już wtedy chodziłem do szkoły. Nie udało mi się ta sztuka i wpadłem z rowerem do wody. Nic mi się nie stało, tyle że się skapałem. W lecie kapaliśmy się całymi dniami w rzecę, która była czystutką, pełna ryb i miała piękne piaszczyste dno. Warta była dosyć niebezpieczna i co roku pochłaniała kilka ofiar. Nie wiem kiedy nauczyłem się pływać. Najpierw „po piesku”, potem „po kozaku”, z szerokim wyrzutem ramion. Fason tego drugiego stylu polegał na tym, żeby jak najwięcej pleców wynurzać z wody.

Chłopcy umiejący jako tako pływać chodzili kąpać się w górę rzeki w miejscu nazywanym się „za pasturzem”. Tam kapaliśmy się na golas, ale łączyło to się z pewnym obyczajem. Mały golas podchodził do rzeki, zasłaniając lewą ręką przyrodzenie, po czym kucnął nad wodą, zanurzał prawą rękę w wodzie i żegnał się. Dopiero wtedy można było wejść do wody. A po wyjściu należało najpierw włożyć czapkę. Jeżeli któryś zapominał i wkładał inny szczegół garderoby, to dostawał od kolegi piaskiem „obsypkę na pipkę” i musiał jeszcze raz włożyć do wody, żeby się umyć.

Szerokie zakole rzeki na zewnętrznym łuku kryło dużą głębię. Ustawialiśmy na stromym brzegu kopce z darniny, żeby było wyżej i skakaliśmy z tego do wody. Topiliśmy się trzy razy, ale za każdym razem ktoś mnie wylał. Kiedy byłem już pewny swojego pływania, to znaczy gdzieś w wieku ośmiu-dziewięciu lat, zaproponowałem ojcu wspólną kąpiel właśnie tam. Gdy przyszlismy na brzeg rzeki, zaproponowałem przepłynięcie Warty. Ojciec był trochę niepewny moich umiejętności, ale ponieważ sam był dobrym pływakiem i wiedział, że w

razie potrzeby potrafił mnie wyciągnąć, zgodził się. Przepłynęliśmy na drugi brzeg, po czym po krótkim odpoczynku zaproponowałem powrót. Po wyschnięciu i ubraniu się zostałem po raz pierwszy w życiu zaproszony przez ojca na lody. Zostałem przez niego zauważony jako męski członek rodziny. Niestety przyszedł okres, w którym trzeba było pomyśleć o szkole. Mogłem iść do szkoły powszechnej, dzisiejszej podstawówki, która przez siedem lat dawała wykształcenie trzech pierwszych klas gimnazjum, albo iść od razu do pierwszej klasy gimnazjum. Ten drugi system stosowali ludzie zamieszani, ponieważ opłaty gimnazjalne były dość wysokie.

Postanowiono przygotować mnie do pierwszej klasy gimnazjum. Czytałem już zupełnie dobrze, pisałem fatalnie, a o arytmetyce nie miałem żadnego pojęcia. Przygotowywałem się pan Wiśniewski. Był to bardzo opanowany młody człowiek po maturze i po wojsku na froncie. Nie musiał się specjalnie wysilać, żeby utrzymać mnie w ryzach. Wystarczyło, że był starym wojskowym. Trzy miesiące trwało przygotowywanie mnie do szkoły. Egzamin zdałem bez trudności.

W międzyczasie zmieniliśmy mieszkanie z budynku pan Gorochów, gdzie mieściła się stacja pocztowa, a obok była remiza strażacka, na lokal przy rynku w kamienicy pana Lewartowskiego. Sład miałem dosłownie dwa kroki do szkoły. Gimnazjum mieściło się w dużym budynku, w dawnej łożni masonerii. Naprzeciwko był budynek starostwa. Gimnazjum, starostwo i knajpa Lewartowskiego były jedynymi instytucjami, w których urzędowała chrześcijaństwo. Obok szkoły swoje sklepy mieli bracia Zanzy, w pobliżu nas z jednej strony handlował pan Podchlebniak, a z drugiej panowie Danziger i Wiener, dalej panna Winter, naprzeciwko zaś pan Migdał. Wzdłuż uliczki prowadzącej do zabytkowego ratusza osiedlili się panny Bądzdzdrow, a przy samym ratuszu – pan Margulies.

Pierwsza klasa gimnazjalna przeszła „śpiewająco”. Ojciec, przeczytawszy moje pierwsze roczne świadectwo szkolne, był zaskoczony. Aż podniósł brwi ze zdziwienia, po czym oddał mi arkusz bez słowa. Znaczyło to, że wszystko w porządku. W klasie tre-

cię zaczęły się problemy. Towarzystwo, z którym się zaprzyjaźniłem, uważało uczenie się za przesadę, zajmowało się raczej paleniem papierosów, piciem wina i innymi tego typu rozrywkami. Ta reszta czasu, która mi pozostawała, absolutnie nie wystarczała na przygotowanie się do lekcji. A belfry wymagały.

Zestaw nauczycielski pochodził z przedwojennych remanentów. To znaczy sprzed pierwszej wojny światowej. Byli to wszystko starzy nauczyciele, przeważnie zadający do nauzenia się „odtąd dotąd” i egzaminujący w czasie lekcji. Młodych było niewiele. Ale dzięki tym starym potrafię do dziś dnia wiele rzeczy zasadniczych wyrecytować na pamięć, tak jak mnie uczono. Fizyki, matematyki, polskiego, historii, przyrody uczyli fachowcy. Ryśunek odrębny też był postawiony na niezłym poziomie. Ale chyba największym i najbardziej oddanym nauczycielem był pan Kosiński, nauczyciel gimnastyki. Był on chyba najstarszy z zespołu uczącego, niewielkiego wzrostu, zawsze wyprostowany pan z długą siwą brodą. Na jego lekcjach panowała karność jak w wojsku, a każda lekcja mogła być pokazana publicznie jako popis. Jak ten człowiek w krótkim czasie potrafił nauczyć nas szermierki, szwedzkiej gimnastyki, którą wykonywaliśmy zgodnie jak balet, ćwiczeń na przyrządach i wzbudzić w nas zamiłowanie do lekkoatletyki – nie wiem. Faktem jest, że tych zajęć nikt nie lekceważył.

Hufiec szkolny przysposobienia wojskowego był, jak sama nazwa wskazuje, organizacją paramilitarną. Na ułecę o broni, walkę bagnetem i szkołę strzelca chodziliśmy do koszar i uczyli nas tego podoficerowie. Nie mniej paramilitarne było harcerstwo. Wszystkie ideały, jak: jeden dobry uczynek dziennie, niepicie alkoholu, niepalenie i „na harcerzu polegać jak na Zawiszy”, były w miarę dobrych części przestrzegane, ale chłopców bardziej przyciągały formy wojskowe, które w nim panowały. Paramilitarnymi organizacjami były Towarzystwo Gimnastyczne „Sokół” i „Strzelec”.

Alle najpiękniejszą drużyną w Koninie była I drużyna harcerska. Należała do niej młodzież robotnicza, często już po wojsku. Prowadzili ją dwaj bracia Jarominałowice. Była zawsze najlepiej umundurowana, najliczniejsza, najlepiej wyszkolona.

Ważnymi wydarzeniami były wszelkie defilady w dniach świąt. Na czele maszerował wtedy batalion piechoty stacjonujący w mieście, a za nim

został dwa razy tyle różnych organizacji. Wszystko pod bronią. Defilować nie było łatwo, bo w całym mieście nie uswiadczyły ani kawałka asfaltu, ani nawet kostki brukowej. Wszystkie ulice wybrukowane były „kocimi łbami”, czyli równo, w miarę możliwości, ułożonymi kamieniami polnymi.

Historia, polski, przyroda to były przedmioty, którymi interesowałem się, ale chemia, matematyka i fizyka nie bawiły mnie wcale. Skutki tego były oplakane. „Replem” w trzeciej klasie na drugi rok. To już demoralizowało mnie ostаточно. Jak można się uczyć tego samego przez dwa lata? Owszem przedmioty, z których miałem dwie, odbębnałem jako tako, ale inne ignorowałem. Lekcje ciągnęły się nieznośnie. Nie mogłem doczekać kiedy nasz kochany pan Karol zadzwoni. Pan Karol Przygodzki, woźny gimnazjum, był całą osobną instytucją. Funkcję traktował niesłychanie poważnie i wiedział o wszystkim, co się w szkole dzieje. Ubrany zawsze w ciemne spodnie wpuśczone w długie buty był wzorem dokładności i punktualności. Dyrektorzy się zmieniali, profesorowie przychodzili i odchodzili, a pan Karol trwał.

Nasz stosunek do dziewcząt był bardzo specyficzny. Zwracaliśmy się do nich przez „koleżanko” i o żadnych poufałościach nie było mowy. Trochę to się zmieniło, kiedy nadszedł okres koedukacji. Koedukacja bardzo odjęła dziewczętom uroku. Na co dzień stały się o wiele mniej atrakcyjne. Ale zawsze obowiązywało klanianie się na ulicy z zamaszystym zdjęciem czapki z głowy.

W połowie roku szkolnego wybuchła awantura. Pobitem się z kolegą z takim skutkiem, że mój adwersarz położył się do łóżka. Rada pedagogiczna kazała mi go przeprosić, czego nie chciałem zrobić i musiałem przenieść się do gimnazjum w Pyzdrach. Tam mnie przyjęto, bo ojciec dostał posadę architekta powiatowego w Słupcy.

Autor po zdaniu matury wstąpił do Korpusu Kadetów w Rawiczu, potem ukończył podchorążówkę piechoty i jako oficer służył w Lesznie, potem w KOP-ie na Polesiu i na Helu. Sład dostał się do obozu jenieckiego, gdzie uczył się rzeźby i występował w teatrze. Po wojnie został aktorem, był też wykładowcą w PWST. Powyższy tekst wspomnieniowy pochodzi z książki „Ale serce boli”. (wybór i opr. L.H.)

Slawomir Lindner
(wyszukał, wybrał i opracował do druku L.H.)

Nie wszyscy pewnie pamiętają, że poświęcony dzień 27 grudnia jest datą wybuchu powstania wielkopolskiego. W Koninśkim i szerzej – w Wielkopolsce Wschodniej nie zwykło się w sposób szczególny obchodzić rocznicy tego zrywu niepodległościowego, jednego zwycięskiego polskiego powstania zbrojnego. Nie zwykło się obchodzić z prostej przyczyny: powstanie objęło tereny Poznańskiego, w części Wielkopolski na wschód od Strzałkowa, będącej przez dziesięć-nastętnie stulecie strefą zaboru rosyjskiego, inaczej ułożyły się historyczne losy.

Niemniej jednak, analizując zyciorysy powstańców wielkopolskich, dowiadujemy się, że wielu z nich pochodziło z naszych terenów, bądź też w inny sposób związanych było z Koninem i okolicami; w czasie zawieruchy wojennej znaleźli się w Poznańskim i tam chwycili za broń.

W 2002 r. ukazało się interesujące

Żołnierski zyciorys

dzielo: Słownik biograficzny powstańców wielkopolskich 1918-1919, pod redakcją Antoniego Czubińskiego i Bogusława Polaka, a w nim biogram p. Marka Rezlera, poświęcony Tadeuszowi Gerasowi. Zaprawdę, pasjonujący to zyciorys niezwykłego człowieka, w części swego życia związanego z naszym miastem. Warto obecnie, na okoliczność regionalnej publikacji pochylić się nad tym biogramem, wyławiając z niego najistotniejsze elementy.

Tadeusz Leonard Geras urodził się 6 listopada 1895 r. w Kalwarii Zebrzydowskiej. Uczęszczał do Gimnazjum Realnego w Wadowicach, ukończył I rok prawa na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. W latach 1911-1914 należał do Związku Walki Czynnej i Związku Strzeleckiego, 4 sierpnia 1914

r. ochotniczo wstąpił do Legionów Polskich. W 1916 r. mianowany sierżantem był szefem kompanii, potem instruktorem w kompanii karabinów maszynowych. W 1917 r. oddelegowany został do prac werbunkowych na rzecz POW, działał m.in. w Słupcy. W 1918 r. ukończył jako aspirant oficerską Szkołę Oficerską w Bolechowie. Wzięty do niewoli jakiś czas przebywał na Węgrzech. Skazano go na śmierć za udział w buncie przeciwko Austro-Węgrom, następnie ulaskawiono i w składzie kompanii karnej skierowano na front włoski, skąd zbiegł i po jakimś czasie znalazł się w Krakowie. W listopadzie 1918 r. ochotniczo zgłosił się do służby w Baonie Pogranicznej w Szczypiornie. Uczestniczył w zajęciu tamtejszych koszar. Z 30 na 31 grudnia 1918 r. brał udział w zdobyciu Skal-

mierzyc, uczestniczył w potyczkach pod Bochlewem, w wypadach na Ostrów Wielkopolski, a następnie Krotoszyn.

W okresie międzywojennym służył w administracji wojskowej, głównie jako oficer ewidencyjny Powiatowej Komisji Uzupelnień, kolejno: w Piotrkowie Trybunalskim, Nowym Targu, Żywcu, Lublinie, a w latach 1934-1939 w PKU w Koninie. W 1937 r. mianowany został kapitanem. 15 lutego 1939 r. służbowo przeniesiono go do Ministerstwa Spraw Wojskowych. W sierpniu powrócił do Konina, a 5 września z personelem PKU ewakuowany został do Warszawy. Podczas obrony stolicy pełnił funkcję I adiutanta komendanta Cytadeli. W latach 1939-1940 przebywał w obozie oficerskim w Brunszwicku, a następnie w obozie II C Woldenberg (Dobiegiew).

Po wyzwoleniu wrócił do Konina. W marcu 1945 r. w Łodzi zgłosił się do czynnej służby wojskowej, lecz nie

został przyjęty. W roku następnym prośbę ponowił, lecz bezskutecznie. Aż do przejścia na emeryturę w 1960 r. pracował jako urzędnik w Polskich Zakładach Zbożowych, później w Spółdzielni Stolarskiej w Koninie. Zmarł 19 marca 1971 r. i pochowany został na konińskim cmentarzu przy ulicy Kolskiej. Był odznaczony m.in.: Orderem Odrodzenia Polski V kl., Krzyżem Niepodległości, Krzyżem Walecznych, Wielkopolskim Krzyżem Powstańcym, Odznaką Grunwaldzką.

To tyle skrótego wypisu z biogramu – hasła autorstwa Marka Rezlera. Podając podstawowe informacje z życia kpt. Tadeusza Gerasa skupiliśmy się na przedstawieniu najistotniejszych odsonów tego niezwykle bogatego żołnierskiego zyciorysu, dostosowując tekst do wymiaru regionalnej publikacji prasowej.

Janusz Gulczyński

Wojna szwedzka lat 1655-1660 zwana „potopem” nie wybuchła przypadkowo, lecz była konsekwencją walk prowadzonych przez Rzeczypospolitą od początku XVII w., walk, w których tylko formalnie chodziło o koronę szwedzkich Wazów. Szwedzi wykorzystali słabość Polski, która prowadziła długoletnie wojny na wschodzie, targana była wewnętrznymi sprzecznościami, wynikającymi z ustroju feudalnego, dysponowała gorszymi jakościowo wojskami i mniejszą ilością środków technicznych.

Najbardziej zagrożone były ziemie Wielkopolski, które od wieków nie dotknięte żadnymi wojnami nie były przygotowane do obrony, a magnaci prowadząc kłopotliwy ze zdrajcami Rzeczypospolitej doprowadzili 25 lipca 1665 r. do kapitulacji pod Ujściem. Ziemia Konińska w połowie XVII w. liczyła ok. 2167 km² i miała kształt wielokąta prawie foremnego, w środku którego leżał Konin będący równocześnie stolicą powiatu. Miasto Konin miało jurysdykcję starościąnsko-grodową. W mieście i powiecie konińskim istniały 4 kategorie własności dóbr ziemskich: własność Rzeczypospolitej (królewską); własność miejską – do Konina należała wieś Kurów, nadana miastu w 1504 r., liczne majątności kościelne (kościół posiadał 31 wsi, a opactwo cystersów w Łądzie nad Wartą 27 osad) oraz własności szlacheckie, skupiające poważną liczbę dóbr dziedzicznych i pełniące kierowniczą rolę polityczną w społeczeństwie.

W okresie 5-letnich zmagani wojennych powiat koniński znalazł się na drugim miejscu w Wielkopolsce pod

względem ilości wsi całkowicie zniszczonych. Często wsi nie niszczył pożar, ogień z jednego budynku przetrwał się na pozostałe, a najczęściej i na całą wieś. Zdarzało się, że zniszczeniu ulegał cały kompleks wsi, tak było np. z wsiami Rakowo, Lenartowo, Radwaniec, Janiszewo i Głowy. Budynek

przymierzono. Każdy z nich gotowy był do gwałtów i zniszczeń, wrogie wojska trudniły się otwartym rabunkiem, a oddziały koronne i sprzymierzone pod pozorem wybierania ustawowych świadków na wojsko – zacierała się więc granica między porobami w naturze i pieniądzu a zwykła

ni wyludniony. Z zachowanego opisu wiadomo, że spłonęło wówczas 87 domów, 17 mieluchów, 2 domy manjonarzy, 3 budynki i 2 browary zamkowe, młyn słodowy i stodoły miejskie. Na grobli spaliło się 10 domów, a na przedmieściu dalszych 6. Lustracja z 1660 roku wspomina, że „zamek był

myslowo-handlowe, przede wszystkim liczne w miasteczkach browary, młyny wodne i wietrzne, młyny słodowe itp. Ogromny był ubytek ziemieślników, część z nich wyginęła, część wywedrowała zapewne do regionu wiejskiego.

Lata wojny doprowadziły do olbrzymich strat ludnościowych, spowodowanych zawieruchą wojenną, bądź grasującą epidemią, które dochoziły do 60% całej ludności Wielkopolski. Wyludnione były całe wsie.

Rezultatem wojny lat 1655-1660, w czasie której obce wojska wielokrotnie przemierzały kraj, pałac, rabując i mordując ludność, były ogromne zniszczenia. Ziemia Konińska, tak jak cała Wielkopolska i Rzeczypospolita, za wojnę ze Szwecją zapłaciła bardzo drogo. Na jej terenie lata wojny spowodowały olbrzymie straty materialne i ludnościowe, które były wynikiem nie tyle samych działań wojennych, ile pożarów i epidemii („mortalne powietrze”) grasującej w czasie „potopu”, która spotęgowała upadek gospodarczy. Obok dokonywanych przez najezdźców rabunków i rekwizycji rujnujących ludność, dawały się jej we znaki grabieże wojsk własnych. Rosło gwałtownie zubożenie ludności na wsi, chłopcy nie posiadali ani inwentarza, ani zboża na zasiew. Dobra państwowe (królewskiej) i duchowne zobowiązane do utrzymania wojsk, były jeszcze bardziej zniszczone. Wyludnione, często spalone wsie wokół miasta i sam Konin – oto obraz Ziemi Konińskiej po potopie szwedzkim.

Maria Magdalena Żerkowska

Ziemia Konińska w czasie potopu szwedzkiego

chłopskie, drewniane niszczały też bez konserwacji, a ich strata była ciosem dla chłopca, utrudniała mu bowiem przetrwanie okresu wojny. Łączyła się także z utratą dobytku ruchomego, m.in. inwentarza żywego, który był przedmiotem grabieży zarówno wojsk szwedzkich, jak i oddziałów koronnych czy sprzymierzonych. Wiadomości źródłowe nie pozwalają na dokładny szacunek strat jakie ponieśli chłopcy, ale na wsi wielkopolskiej były one bardzo wysokie. Znaczna część szkód związana była z aprowicacją wojsk, które zaopatrywały się same, wybierając tzw. stacje wojskowe. Były wsie, które „gościły” u siebie kolejno różne oddziały, zarówno nieprzyjacielskie, jak

grabież. Mniejsze zniszczenia poczynała zawierucha wojenna w folwarkach. Dwory opuszczone, budynki gospodarcze rozwalone, a utrata poddanych była największą przeszkodą w funkcjonowaniu gospodarstwa folwarcznego.

Zniszczenia wojenne w znacznym stopniu dotknęły miasta. Nie było to przypadkowe gdyż miasto, często jako miejsce obronne i węzeł komunikacyjny, leżało na trasie przemarszów, było też obiektem operacji zdobywania, obrony, blokady. Wiele miast, jak określają księgi grodzkie, zostało całkowicie lub prawie w całości zniszczonych. Konin – zniszczony w 1657 „ogniem nieprzyjacielskim” i w znacznym stop-

wielkim kosztem wymurowany i obronny, który Szwedzi przez ogień zrujnowali ustępując z tej fortecy przed wojskami koronnymi, tylko mury wypalone stoją”. Wówczas został także spalony kościół św. Krzyża nigdy potem nie odbudowany. Opis zniszczenia Konina z 1656 r. podaje, że ludność z płonącego miasta znalazła schronienie w farze i kamienicy Zemelki. „W miasteczku Koninie przez nieprzyjaciela zrujnowanym i ogniem zniszonym, tak iż po Szwedach tylko 2 domy w mieście zostały, a na przedmieściach domów 8, nowych domów 15, wybudowano je do 1661 roku.

Razem z domami w zgłiszca obrócone zostały liczne urzędnictwa prze-

Wybrane fragmenty, na podstawie „konińskiej szkatuły wspomnień” – Zygmunta Kowalczykiewicza

Jak to z mostami w Koninie bywało

Warto, rzekoc nasza. Ty byłaś sprawczynią wyboru miejsca na założenie konińskiego grodu.

Warta nie na próżno od wartości nazwana.

Szalone, ciagle śpiesząca się rzeka. Wiekowe dęby ścięte ostrzami toporów, flisacy tobaż spaliali. Na swym grzbiecie niosła statki ze zbożem, koniami miodu i piwa, beczkami potażu smoły i innych dóbr z lasów i pól pochodzących. Rzeko zasobna w ryby i raki. Ściągałaś tu rybaków, a ci nad brzegami osady swe stawiali. Także i przewoźnicy domostwa, by mieć pieczę nad promami i łodziami stosownymi do przewozu ludzi i ich dobytku.

Łodzie, promy, tratwy. Urządzenia wiele przydatne do pływania. Ale dla pokonania rzek najbardziej praktycznymi były mosty. Wymyślił to ci prastary, czasy Persów i innych azjatyckich ludów pamiętający.

Znany jest most krakowski z 1315 r., podarowany mieszczanom przez Władysława Łokietka. Wiemy o moście na Wiśle pod Czerwińskiem, po którym sprawnie przędostały się wojska Jagielli podążające w 1410 r. pod Grunwald.

W tej wylizance nie można pominąć mostu konińskiego, o którym wspomina zapis z 1328 roku, a więc z czasów panowania Władysława Łokietka.

Słowo most ma swój rodowód słowiański. Wykonywano je z drewna. Stawiano na palach wbijanych w dno rzeki, układano na zakotwionych trawach lub łodziach. Te dwie ostatnie techniki uchodzą za najstarsze. Stąd w języku polskim zachowały się do dzisiaj powiedzenia: mosty słać, posłać, położyć, kłaść, rzucić.

Jaki był pierwszy most koniński, nie wiemy. I czy był tylko jeden? W średniowieczu przypuszczalnie istniały dwa. Jeden na głównym nurcie Warty, łączący miasto ze słupeckim przedmieściem oraz drugi koło kościoła farnego, na starorzeczu przy branie miejskiej.

W Koninie dla uwołnienia się od kaprysów rzeki i ułatwienia przeprawy przez grząską łąkę usypano dwie groble. Jedną, krótszą, spinającą miasto z południowym zboczem wysokości, gdzie przedmieście kolskie i kaliskie oraz drugą wiodącą ku wsi Czarków. Pierwszy z wymienionych

nasyków miał dwa mosty drewniane: przy kościele św. Bartłomieja oraz w miejscu, gdzie obecnie ulica Żwirki i Wigury krzyżuje się z ulicą 3 Maja. Na grobli północnej, czarkowskiej, mostów było aż dziesięć.

W opisie miasta sporządzonym w 1580 r. jest wzmianka o kłopotach komunikacyjnych przez dolinę warszawską.

Z lustracji miasta przeprowadzonej w 1789 r. dowiadujemy się, że idąc od oo. Reformatów do miasta jest mostów 2. Z drugiej strony miasta na rzece samej Warcie jest most wielki. Poza łęg od miasta do Czarkowa jest mostów 9. Te mosty wszystkie i groble między innymi są potrzebujące naprawy.

W XIX w. grobla łącząca przedmieście kolskie z miastem została znacznie poszerzona i zabudowana, tworząc ulicę. Zasypano rzeczycę i rozebrano mostek w miejscu gdzie jest obecnie skrzyżowanie 3 Maja z ul. Żwirki i Wigury. Przed drugą wojną światową zasypano część fosy miejskiej i zlikwidowano most przy kościele parafialnym.

Oprócz opisywanych mostów był

jeszcze jeden na ulicy mającej za patrona Adama Mickiewicza. Został on zlikwidowany w latach międzywojennych po zasypaniu rzeczycy oddzielającej miasto od parku.

Wróćmy do grobli wiodącej od przedmieścia słupeckiego na północ. Budowa linii kolejowej Strzałkowo-Kutno, ze stacją na gruntach wsi Czarków, wymagała bezzalowego połączenia drogowego. Stara grobla została poszerzona i małe mostki zlikwidowane. W miejscu najbardziej zagrożonym powodziami pozostawiono przerwę spiętą mostem wykonanym z nitowanych profili stalowych. Tu mała ciekawostka. Po zakończeniu pierwszej wojny światowej i ustaleniu granicy między Polską a Niemcami został rozebrany most na 864 kilometrze Wisły w miejscowości Opalenie. Dwa przęsła mostu otrzymał Konin, pozostałe Toruń.

14 września 1939 r. wojska niemieckie wkroczyły do Konina. Czekając ich utrudnienie komunikacyjne w postaci wysadzonego drewnianego mostu na Warcie. Po odbudowaniu został ponownie zniszczony w dniu 20 stycznia 1945 r. przez hitlerowców

uciekających przed nadciągającym zagrożeniem radzieckich czołgów. Niemieccy saperzy wysadzili również przęsło mostu czarkowskiego. W pierwszych miesiącach po wojnie, drewniany most warszawski został odbudowany. Na stalowym, czarkowskim wyrwę wyznaczono deskami. Kilka lat później, na czas odbudowy, zmontowano most wojskowy wykonany z kształtowników stalowych.

Prowizorka trwała kilka powojennych lat, do czasu sprowadzenia do miasta dwóch angielskich mostów wojskowych konstrukcji Bailey. Mosty takie o nośności od 9 do 70 ton i rozpiętości przęsła od 36 do 10 m w latach drugiej wojny stosowały w Europie wojska alianckie. Modułowe elementy konstrukcyjne były tak zaprojektowane, aby można je było łączyć ze sobą w przęsła.

Mosty Bailey funkcjonowały w Koninie przez sześć lat, do czasu zakończenia remontu zniszczonego mostu. Obecnie jego patronem jest Józef Piłsudski.

Nie ma już drewnianego mostu na Warcie, brzegi spina stalowy, wymodelowany w kształcie łuku i służy wyłącznie pieszym. Krajowy i lokalny ruch komunikacyjny odbywa się przez stalowo-betonowy most wzniesiony w 1952 r. W latach późniejszych, dla zwiększenia przelotowości trasy Poznań-Warszawa, obok już istniejących mostów, położono dodatkowo: jeden na Warcie, a drugi na zalewie, zwanym też kanałem Ulgi.

PS Obecnie z niecierpliwością oczekujemy na najnowszy, najdłuższy i ponoć najładniejszy most Konina.

S.S.

Janina Weneda

Raj
... podajesz mi jabłko
rumiane soczyste
nagle skojarzenie
a z jakiego drzewa
nie bój się mówisz
to jest klucz do raj

Polska
kraj maków chabrów kąkoli
łanów żółtego rzepaku
i między śródłączonej
z krzewem kwitnącego głogu
nad którym zawisł skowronek

W styczniu tego roku minęła rocznica śmierci człowieka, który powołał do życia pierwsze w dziejach Konina Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami.

Przyjaciel zwierząt

Na pierwszym posiedzeniu członkowskim został wybrany prezesem Zarządu Wojewódzkiego T.O.Z. w Koninie. Był nim Jan Sznajder, senior,

Zygmunt Bremer, Zygmunt Kowalczykiewicz, Jan Rotter, Henryk Soszyński, Zbigniew Wąchnicki, Ignacy i Mirosław Wrocławscy, Maria Sznajder, Bożena Wojnicka, Aldona Wróblewska.

Jan Sznajder na stałe związał się z teatrem. Uzyskał licencję instruktora amatorskich zespołów teatralnych. Był konsultantem P o w i a t o w e g o Domu Kultury.

Prowadził teatrzyk dziecięcy, teatrzyk kukielkowy. Pomagał inscenizować przedstawienia w klubach i w Gminnych Ośrodkach Kultury. Z racji zajmowanego stanowiska w B.P.Z.G.S. konsultował Szkolne Spółdzielnie Uczniowskie. Opiekował się Kołami Gospodyń Wiejskich. Trudno pojąć w jaki sposób znajdował jeszcze czas na zorganizowaną opiekę nad krzywdzonymi zwierzętami?

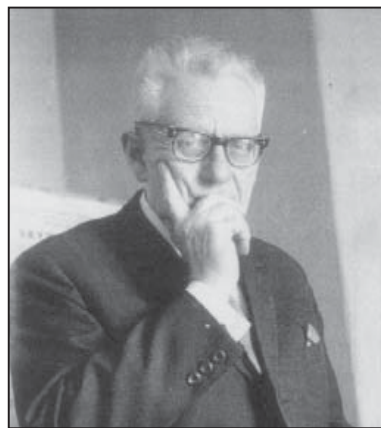
Z Jego inicjatywy powstało w 1975 r. schronisko dla bezdomnych zwierząt w Posoce koło Konina. Z zaangażowaniem troszczył się, aby nowo powstałe schronisko zawsze miało dostateczną ilość karmy, solidne budy i wybiegi. Dzięki wielkiemu darowi zjednywania ludzi i osobistemu urokowi, potrafił pozyskiwać do współpracy na rzecz zwierząt sponsorów, organizacje społeczne i młodzież. Jego

własne mieszkanie przypominało często przychodnię weterynaryjną. Tam lekarz weterynarii, Małgorzata Wilkowiecka, społecznie opiekowała się chorymi zwierzętami. Śmierć żony, która była zawsze współuczestniczką Jego działalności, i ciężka choroba, nekająca Go przez ostatnie lata życia, nie osłabiły Jego troski o krzywdzone, chore i porzucone zwierzęta.

Za swoją działalność Jan Sznajder został uhonorowany Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Odznaczeniem Zasłużony Działacz Kultury, Odznaczeniem Zarządu Głównego T.O.Z., Odznaczeniami - Za Zasługi dla Woj. Poznańskiego, dla Woj. Koniańskiego, dla Miasta Konina oraz wpisem do Honorowej Księgi Zasłużonych dla Miasta Konina.

Odszedł od nas człowiek prawy i gołębiego serca. Wśród wielu swych przyjaciół i znajomych zaszczerpił wiarę w opiekuńczą rolę człowieka w stosunku do zwierząt, współlokatorów naszej planety. Na cmentarzu, na Jego grobie, widnieje napis: „Przyjaciel Zwierząt”.

Bohdana Czerwińska



znany mieszkańcom z wielu inicjatyw społecznych. Urodził się w Koninie w 1909 roku.

Jeszcze przed wojną, z gronem przyjaciół, zaangażował się w amatorski ruch teatralny w Koninie. Wystawiane sztuki cieszyły się dużym powodzeniem wśród mieszkańców miasta. Po wojnie grono miłośników teatru podjęło przerwaną działalność. Powstał Miejski Teatr Amatorski. Jego reżyserem, przy wydatnej pomocy żony, Marii, został Jan Sznajder. Warto przypomnieć ludzi, którzy wtedy starali się dać swoim współmieszkańcom godziwą rozrywkę. Byli to m.in.

Spółdzielnie Uczniowskie. Opiekował się Kołami Gospodyń Wiejskich. Trudno pojąć w jaki sposób znajdował jeszcze czas na zorganizowaną opiekę nad krzywdzonymi zwierzętami?

Z Jego inicjatywy powstało w 1975 r. schronisko dla bezdomnych zwierząt w Posoce koło Konina. Z zaangażowaniem troszczył się, aby nowo powstałe schronisko zawsze miało dostateczną ilość karmy, solidne budy i wybiegi. Dzięki wielkiemu darowi zjednywania ludzi i osobistemu urokowi, potrafił pozyskiwać do współpracy na rzecz zwierząt sponsorów, organizacje społeczne i młodzież. Jego



zdj. s. 6 - P. Hejman

A jednak panta rhei



Zakręcone



Prawdziwy spokój



Chwilowo nie do odpoczywania



Za kratą też śnieg



Który wyjrzy czy już jest słońce?



KONIN-BONITULAF BRAMA FORTYFICATA PANSKI BR. WOLCZECH

KONINIANA

ADRES REDAKCJI:
62-50 Konin, ul. Przemysła owa 9, tel. 243 77 00, 243 77 03

Redaguje zespół Zarządu Towarzystwa Przyjaciół Konina

ISSN 068-0893